Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

CENA 60 GR.

Nr. 4 KWIECIEŃ 1936 R. Rok XII

MŁODA MYŚL LUDOWA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM RUCHU LUDOWEGO

REDAKCJA, ADMINISTRACJA: WARSZAWA, FILTROWA 65a. TELEFON 8.93-50. KONTO P. K. O. 8.636

TREŚĆ: Źródła polskiej literatury chłopskiej i jej zadania — Fr. Pajdak; Pisarze chłopscy — Z. Solarzowa; Pamiętniki chłopskie — T. Nocznicki; Wiosenne pozdrowienie chłopskich ptaków — W. Skuza; Ziemia odpływa na zachód — St. Piętak; W polach — Fr. Surówka; Wiater — St. Młodożeniec; Nowy chleb — J. Morton; Wieś i miasteczko — J. Gruziński; Co słychać.

FRANCISZEK PAJDAK

ŹRÓDŁA POLSKIEJ LITERATURY CHŁOPSKIEJ I JEJ ZADANIA

POJĘCIE LITERATURY CHŁOPSKIEJ.

Jak sztukę wogóle tak i sprawę literatury pięknej rozpatrywać należy z dwóch punktów: twórcy dzieła i — konsumenta. Ma prawa swoje twórca, płynące z nieodgadnionej tajemnicy talentu, ma je również społeczeństwo, do którego, mimo wszelkie „sobieśpiewania", zwraca się artysta. Zależnie od tego, kim jest pisarz, jakiemu hołduje światopoglądowi, wreszcie jakim prawdom pragnie dać wyraz w swoich utworach — wolno tej czy innej grupie społecznej określać go jako „swojego" piewcę, a twórczość jego uznać za „swoją" dobrą nowinę.

W tej płaszczyźnie dopiero można stawiać zagadnienie podstaw i planów chłopskiej estetyki pisarskiej, chłopskiej literatury jako wyrazu życia i dążeń wsi. Gdyby się bowiem upierać przy poglądzie, że literaturę chłop-

ska stworzyć, co więcej, o istotnie chłopskim jej charakterze zadecydować mogą tylko autorzy, rekrutujący się żywcem z masy ludowej, zapędziłoby to w beznadziejny zaułek ekskluzywności i kastowości. Bodaj, czy nie swoistego rasizmu... Im więcej będzie nie tyle wykształconych chłopów, co — chłopów wykształconych, a nie „wysferzeńców", tem oczywistszem się stanie, że chłopskość to nie stopień cenzusu naukowego, względnie jego minimum, nie pochodzenie czy majątek, względnie znów jego nieposiadanie, ale sprawa poglądu na świat, rodzaj umiłowań i odczuwań życia.

Literaturą chłopską, w odróżnieniu od literatury miasta, kleru, proletarjatu fabrycznego, — są i będą te dzieła, które i w treści i w intencji autora treść ową przenikającej wykażą styczne do życia wsi, harmonizować będą z jej duchem i potęgować z dnia na dzień dynamikę jej rozwoju.

W POSZUKIWANIU NOWEJ IDEI.

Niepomiernie mało miejsca w historji literatury polskiej zajmują wartości chłopskie. Dużo wody upłynie, zanim nowodziejowa rzeczywistość zmusi do zajęcia się problemem literatury chłopskiej jako koniecznego przejawu kształtujących się stosunków. Widać trzeba było przejść ludzkości wszystką krzywdę i pogardę okresu niewolniczego, wszystką przemoc feodalizmu i wreszcie wyzysk najmu (kapitalizm), ażeby dotrzeć wkońcu do idei ustroju, w którym podstawę społeczno-gospodarczą stanowić będzie **własność samodzielna.** Przypuszczać można, iż myśl owego ustroju najszybciej i najsprawiedliwiej urzeczywistnią kraje o strukturze chłopsko-rolnej. Do nich należy Polska. I to, co ze stanowiska dzisiejszej racji różnych odcieni faszyzmu i komunizmu pojmowane jest jako kula u nogi: wieś, pod kątem odrodzenia życia i dalszego rozwoju zjawia się jako błogosławieństwo wielkiej idei, którą jest człowiek z naturą w przymierzu pozostający.

Ale zanim ekonomista, polityk czy filozof zdołają sformułować i uświadomić sobie w pełni zarysowujące się drogi przyszłości, już tętent ich przeczuwa artysta. Nieoddzisiaj też i wieś polska odkrywana jest przez pisarzy, natomiast dzisiaj z całą oczywistością dostrzegają oni, że jedyne, największe słowo, które ma do wypowiedzenia każdy naród, w Polsce przedewszystkiem wypowie chłop. Twórczość nie związana korzeniami z ziemią, nie przepuszczona przez pryzmat serca, owianego zapachem przyrody i słońca, — nigdy nie zagra wszystkiemi kolorami istnienia. I gdyby pominąć, trzymając się gruntu samodzielności i oryginalności kultury, wszelkie momenty sprawiedliwości, ludzkich i boskich praw, które wołają o całkowite uwzględnienie i uwzględnione być muszą tak z punktu widzenia dobra wsi jak i całości państwa, sprawa rozkwitu życia chłopskiego wysuwa się równocześnie jako zagadnienie rozwoju samorodnej kultury polskiej. Nie idzie bynajmniej o wywoływanie takiego nastroju podzwonnego pod adresem reprezentantów szlachecko-kapitalistycznej „góry" ani jednostronność tendencji. Faktem jest, że kiedy „kulturalne" szczyty zdobywać się mogą jedynie na tyle siły, co ledwie starczy jej na utrzymanie status quo, powstałą próżnię ideową wypełnić muszą nowe elementy o niewyładowanym jeszcze potencjale żywotności. Takie jest prawo natury.

Zjawienie się na naszym horyzoncie społeczno-gospodarczym i politycznym wsi upoważnia równocześnie do stawiania problemu sztuki i literatury chłopskiej, jako konsekwencji zarysowującej się idei nowych stosunków — agrarno-ustrojowych.

ŹRÓDŁA CHŁOPSKIEGO PIĘKNA.

Sztuka, dla której najszybciej dosłyszalne się stają tajemne szepty świtającego życia, przeczuła pochód miljonowej gromady wiejskiej. Oddawna razporaz zatrzymują na niej uwagę Kochanowscy, Mickiewicze, Szopeny. Odkrywali światu wieś, wieś polską.

Obecnie, mimo wszelkie pozory, jesteśmy bodaj jeszcze w stadjum ciągłego jej odkrywania. Nie trzeba dowodzić, ile literaturze, niechłopskiej w swojem założeniu, dała wieś rycerska i ziemiańska, ilu autorom, którzy w nowszych czasach na wieś i chłopa postawili, dopomogła do sławy, nawet ogólnoświatowej. A przecież jesteśmy dopiero u progu nieprzebranych wartości estetycznych świata chłopskiego. Mówi o tem dobitnie nazywanie chłopa „prostym". Niechlujne świadectwo ciągłego niewychodzenia jeszcze poza obręb wrażeń źródła wszelkiego mątu pojęć o wsi. Tu i ówdzie rekonesans literatów, etnografów, lingwistów przepatrzył poniektóry regjon. Daleko do poznania wszystkiej różnorodności kultury regjonalnej, związanej z rodzajem pracy, rokiem obrzędowym, rodziną, gromadą; wszystkiej problematyki życia społecznego i gospodarczego chłopa; wszelkiej zawiłości i utajonych wstrząsów jego psychiki.

Kultura wsi — to przedewszystkiem kultura pracy i gromady. Pierwsza jest wynikiem błogosławieństwa i przekleństwa zarazem zawodu, w połowie uzależnionego od wysiłku i zachodu człowieka, w połowie zaś od kaprysów klimatu, od losu. Druga wypływa z właściwej ludziom, na ziemi rozsiadłym, socjologji sąsiedztwa, gminy. Obydwie przy równoczesnem skomplikowaniu osobowości chłopa z odrębnych okolic, ukrywają w sobie niespotykaną u ludzi innych różnorodność cech dodatnich i ujemnych. Od ordynarnego trywjalizmu obory do — wzniosłego rozmodlenia; od chamstwa, nietylko w mieście spotykanego, — do najsubtelniejszego nastroju pieśni miłosnej; od częstej zwykłości do — jedynej wyjątkowości; od smutku, rozpaczy, tragizmu do — radosnej zapamiętałości; od małostkowej chytrości do — filozoficznego zamyślenia o życiu i świecie; od sobkostwa do — społecznej samopomocy i poświęcenia; od skrajnego indywidualizmu do — niespotykanego nigdzie rytmu gromadzkiego; od zgiętego ku ziemi ubóstwa do — rozbuchanej tłustości bogactwa; od uniżoności i podejrzliwości do — świadomej siebie i honorowej dumy stanowej; od szarzyzny dnia codziennego do — grającej wszelkiemi barwami niedzielności; od krótkowzrocznej małoduszności do — płomiennego bohaterstwa — — oto w przybliżeniu zaznaczona mnogość motywów, nie odkrytych jeszcze przez literaturę i niewyczerpanych w nieskończoności swych kombinacyj. Niemal każda wieś, powiat przedstawiają dzisiaj jeszcze rozliczne właściwości odrębne, swoiste, oryginalne.

„Jeszcze dzisiaj", gdyż pług kosmopolityczny niwelacji i szablonu w pełnym ruchu, prowadzony ręką szkoły, oświaty, już też samej wsi, nieświadomej swej wartości, chorej na kompleks niższości, smaganej wzgardliwym śmiechem panków, to znów podrywanej zabójczo w silnem samo-

poczuciu moralnem przez nędzę. Martwi się snobistyczna góra w naśladowczym pośpiechu doganiania Zachodu, kiedy w kraju na oczach wszystkich przepadają nazawsze odwieczne i rodzime wartości kulturalne, niegodne snać nawet tej troski publicznej, co kompromitujące Garmisch-Partenkirchen! Tymczasem zaś wyręczają nas w eksploatacji kultury chłopskiej inni, choćby np. Czesi, którzy niedawno zabrali nam podhalańskiego Janosika do swego filmu.

Odzwierciadlenie prawiecznej i ostałej jeszcze kultury chłopa — to pierwsze zadanie literatury chłopskiej. Szperactwo naukowe spocznie bezpiecznie w truchłach półek muzealnych i bibljotecznych. Sztuka jedynie i literatura zdołają kulturę wsi nietylko odtworzyć, ale ożywić i rozsławić. Przykładem: Reymont.

Ale to wszystko dotyczy stosunku autorów literatury chłopskiej względem wsi, która była i — wrócić nie może. Tej wsi, której — „gościńce sławy chwastami porosły". Cokolwiekby jednak sądzić o dorobku wsi dawniej, jedno jest wielką prawdą; wieś nowoczesna uchroni się wykoszlawienia w swej dalszej drodze tylko wówczas, gdy świadomie i godnie nawiązać zdoła do swoistych osiągnięć kulturalnych ojców.

Skolei, coraz większe możliwości estetyczne, znacznie już głębszej natury i trudniejsze, staną otworem przed poetą chłopskim, gdy wsłucha się i wczuje w rytm wsi obecnej i spodziewanej, zdobywając się na odwagę bojowania — w twórczości dnia dzisiejszego i w twórczości pionierskiej.

Haniebnie jest w tej chwili na wsi. Nietylko z racji bezrobocia i głodu. Stokroć boleśniej jeszcze uderza w nią sztuczne zahamowanie ruchu społeczno-politycznego, który zakreślił już tak górną linję na horyzoncie dziejów polskich i nagle wstrzymany został w swym pędzie. Historja ruchu ludowego, historja starć chłopa z tymi, co mu dotychczas świat sobą zasłaniali, obfituje w niewyzyskane niemal zupełnie literacko momenty bohatersko-tragiczne. One stać się muszą paciorkami politycznego różańca chłopskiego. W różańcu tym poczesne miejsce (najlepiej — „dziesiątki"...) zarezerwowane być winno dla kleru, zawsze w stosunku do wsi odgrywającego rolę awangardy reakcji. Jako pogłos wymagań politycznych występuje na odcinku duchowym jednostki konflikt dwóch światów: pańszczyźnianego i wyzwolonego, tak przenikliwie odmalowanych w „Dwóch duszach" (choć z większym pożytkiem dla chłopów, niż dla samego autora...). Być może, za mały dystans dzieli nas od wielu wypadków ruchu ludowego i nieraz przyjdzie na warsztat literacki brać daleką przeszłość, jak to np. uczynił Kruczkowski. Nie wolno jednak zapominać znowu, iż wieś ma wielką za sobą tradycję walki politycznej. Ta tradycja musi się stać powszednim jej chlebem wiedzy, na niej budować się ma zrąb godności stanowej chłopa. Kardynalnym błędem wychowawczym byłoby szerzenie przekonania, iż ruch ludowy liczy lat kilka czy kilkanaście. Literatura, pełniąca rolę „przymierza między dawnemi a nowemi laty", zdolna będzie w krew i kości obecnego pokolenia chłopskiego wprowadzić historję ruchu wyzwoleńczego wsi, tak, aby stał się przedmiotem myśli i uczuć ogółu chłopskiego.

Przedewszystkiem — dla nauki!

A przyszłość wsi?

Sama od siebie nie ukształtuje się po woli chłopa. Nieustępliwą, wytrwałą bojowość na każdem polu, przekonanie o konieczności walki o wszystko, co słuszne, kropla po kropli wsączać się winno w duszę chłopską. Żadna z warstw w narodzie naszym nie odznacza się takim brakiem nowoczesnej inicjatywy społecznej, brakiem zmysłu organizacyjnego, ustępliwością i ugodowością, co — chłopi. Wykazanie, ile pośrednio czy bezpośrednio zyskała wieś dzięki zorganizowanym ruchom, to zadanie nietylko publicysty-społecznika, ale i myślącego literata. Na platformie walki o reformy we wszystkich dziedzinach życia wsi, dokonywują się nieustannie dogłębne procesy duchowo-społeczne, pełne poezji, którą mieści w sobie zawsze kiełkujący pęd nowych wyrostów. Zwłaszcza tam, gdzie młodzież ofiarnie i solidarnie stanęła do pracy. Jej zmaganie się z jednej strony z nieświadomymi rzeczy ojcami, z drugiej zaś z klerem i zaporą administracyjno - polityczną — nie może być przez literaturę chłopską pomijane, tak z racyj estetycznych jak i wychowawczo-ideowych.

Przyczem, godzi się bodaj napomknąć, kiedy mowa o źródłach motywów literackich chłopskich, o niebezpieczeństwie stosowania utartych schematów pojęciowych, dotyczących stosunku chłopa do ziemi, ludzi, Boga. Wieś jest w tej chwili w okresie niesłychanego nigdy fermentu wyobrażeń, myśli, uczuć. Destrukcyjne działanie zubożenia przejawia się wybitnie w upadku wszelkiego autorytetu i zdziczeniu moralnem. Cośniecoś powiedziały o tem „Pamiętniki chłopów", ale wrażenie ich już przebrzmiewa...

Zatem — którąkolwiek dziedzinę życia chłopskiego wziąć na oko, każda — dołączając jeszcze pominięty rozmyślnie teren przyrody wiejskiej — wykazuje przeogromną skalę elementów twórczych dla literatury. Nigdy w tym stopniu, co dzisiaj, życie wsi nie było tak zróżniczkowane, nie przedstawiało tylu aspektów i ich odcieni. Brane ogólnie, jako całość gospodarczo-kulturalna i socjologiczna, kryje w sobie tysiaczne pierwiastki wysoce dramatyczne, tragiczne, epickie, liryczne i — humorystyczne. Że również humorystyczne, nie trzeba dowodzić drogą rozpatrywania psychologji humoru, wystarczy powołać się choćby na „Drogę przez wieś Burka. Nieraz to humor szubieniczny (przejaw: puszczenie na targowicy spadłego w cenie konia z napisem: „Bezrobotny, szuka pracy"..., przywiązanym do ogona) — zawsze jednak humor — i wart więcej, niż łzawe i bezradne gorzkie żale. Czerpiac pełną garścią treść z życia chłopskiego, literatura spłacić swój dług wsi może wówczas, kiedy swą siłą ideową i mocą piękna artystycznego wzmocni postawę moralną wsi wobec życia i świata i wzbogaci świeżą wizją rzeczywistości jej duszę zbiorową.

FORMY CHŁOPSKIEJ LITERATURY.

W zagadnieniu chłopskiej estetyki literackiej moment najtrudniejszy do omówienia. Sprawa to raczej twórców i zarazem ich struktur psychicznych. Że we współczesnej literaturze chłopskiej dominował bedzie nastrój przedewszystkiem bojowości i satyry — to pewne. Nakaz odważnie spoglądającego w twarz życia realizmu nie wysunie prawdopodobnie na plan pierwszy atmosfery rozmodlenia i sielanki, bo jej niema w tej chwili.

Jak dotąd, najdalej w poszukiwaniu swojego artystycznego wyrazu jest teatr ludowy dzięki działalności Jędrzeja Cierniaka. Drogą inscenizacji

pieśni, widowisk, misterjów oraz „sztuk z głowy" wyłaniać się poczyna odrębna, choć nieskrystalizowana jeszcze, forma dramatu ludowego, zdążającego w stronę dramatu oryginalno-narodowego. Literaci chłopscy, zasuggerowani „staremi" formami teatralnemi, nie zdobyli się jeszcze na utwór sceniczny, łączący w sobie momenty artystyczne z duchem i wymogami sceny chłopskiej.

Poza teatrem ludowym, w dziedzinie prozy i poezji, niema prób teoretycznych sformułowania zasad poetyki i prozaiki chłopskiej. Twórczość zresztą sama wyprzedzić je musi. Bodaj na najlepszej drodze do stworzenia oryginalnej chłopskiej formy są Skuza i Burek.

Pierwszy z nich dzięki nawiązywaniu do rytmu i budowy wiersza ludowego, drugi z racji zadziwiającej zdolności odczucia prawdy życia chłopskiego i odtwarzania jej językiem gwarowym. Gdyby wnioskować po wytworach samorodnej sztuki ludowej, forma literatury chłopskiej kojarzyć w sobie winna prostotę środków artystycznych z głębią i bogactwem motywów. Idealnym wzorem takiej formy na gruncie literatury naszej jest Mickiewicz i Prus. Anonimowi autorzy „Pamiętników chłopów" wskazać mogą, ile myśli i uczuć zamknąć można w lapidarnych, tchnących konkretyzmem życia wyrazach. Jak człowiekowi, zasłuchanemu w odwieczne głosy ziemi i nieba nie przystoi i wstrętną jest frazeologja, tak również i jego literaturze nigdy nie powinien zagrażać przerost formy nad treścią. Ale literatura ta nie śmie nigdy zejść z drogi, która wiedzie do poezji pracy i filozoficznej zastanowy nad światem. Porówno z prężnością nowoczesnych dziejów wsi, dotrzymując kroku rodzącym się przemianom i wzniecając razwraz ognie nowych porywów, zdolnych przepalić dawną skorupę życia na świeży kształt rzeczywistości kulturalnej i społeczno-politycznej — winna literatura chłopska dopracowywać się swoistego wyrazu artystycznego. Uwarunkowany jest on przedewszystkiem stopniem zespolenia się wewnętrznego twórcy z chłopem, a wreszcie i zdolnością wyzwolenia się z pod wpływu estetyki mieszczańsko-kapitalistycznej i proletarjacko-fabrycznej.

PROGRAM NOWOCZESNEJ LITERATURY CHŁOPSKIEJ.

Z powyższych uwag o źródłach i charakterze wynika sam z siebie program nowoczesnej estetyki literackiej chłopskiej.

W całokształcie ruchu ludowego zarysowuje się jej poczesne miejsce jako piewczyni kultury chłopskiej, pobudzicielki i przodownicy życia wsi. Realizacja programu kulturalnego tworzącej się rzeczywistości społeczno-gospodarczej spoczywa na barkach literatury chłopskiej. Kiedy nabierze chłopskiej mocy w siebie i odważnie „zmierzy siły na zamiary", popłynie w przyszłość żywiołowym nurtem, przy którym rzępolenie poetów maszyn, bruków i salonów będzie jedynie dopełniającym akord ćwierćtonem. Maksymalizm jej programu znajduje pełne uzasadnienie nietylko w nieprzebranych źródłach swych natchnień, ale i w tem, że owe źródła stanowią najwyższe dobro, prawdę i piękno istnienia — w postaci: ziemi, człowieka, Boga.

Z programu literatury chłopskiej bynajmniej nie wynika, iż musi ona być literaturą tendencyjną, klasową. Zrąb narodu, jakim u nas są chłopi,— to nie klasa! Prawda, wieś musi przejść okres zwartej odrębności i wyłącz-

ności stanowej, aby nie rozpływała się wśród innych i w sposób naturalny dorosła do swego kierowniczego stanowiska w kraju odwiecznie chłopsko-rolniczym. Jeśli więc droga do nowoczesnej kultury ludowej prowadzi poprzez tendencję — literatura chłopska omijać jej nie może i odważnie odciąć się musi od drugich, ażeby wcześniej czy później honornie im rękę podać, ale już na prawie współrzędności i współwartościowości.

ZOFJA SOLARZOWA

PISARZE CHŁOPSCY

Zaledwie kilku chłopów wyrosło w literaturze polskiej na miarę wielką. Przyczyna jasna: masa chłopska nie przechodziła przez szkoły. Nieliczni chłopi, przebijający się przez mur, dzielący ich od „oświeconego" społeczeństwa — szli przedewszystkiem „na panów" w znaczeniu uzyskania posad, stanowisk i urzędów.

Pięć nazwisk notuję w tem krótkiem rozważaniu. Ściśle zaś rzecz biorąc należałoby ograniczyć się do dwuch: myślę o Kasprowiczu i Orkanie. Oni dwaj bowiem weszli niewątpliwie do rodziny wielkich polskich pisarzów. Oni w całej pełni reprezentują swoją epokę i środowisko. Jeśli zaś wspominamy na tem miejscu Janickiego, Sawczuka i Kurasia, to dlatego, że wierzymy w ich talent i możliwości twórcze, że napewno wiemy i znamy ich przyczyny niedorostu, ich niewątpliwej tragedji.

Krótkie to wspomnienie ma na celu jedynie stwierdzenie samego faktu, że tacy oto pisarze-chłopi byli. Nie chodzi tu bynajmniej o naciągnięcie do ich rzekomej chłopskości. Jeśli jednak wślad za nazwiskami pobiegniemy w odpowiadające im czasy i stosunki, niemożliwą jest rzeczą nie spostrzegać spraw, które same za siebie mówią.

Przez całe wieki niepodległości Polski jeden tych chłop-pisarz zyskał miejsce w literaturze. Był to Klemens z Janiszkowa.

Trudno jest oceniać tamte czasy (pierwsza połowa szesnastego wieku) dzisiejszemi sposobami myślenia i sądzenia.

Bo Klemens zdobył naukę i sławę z „łaski pańskiej". Łaskę tę całe swe krótkie życie błogosławił, nigdy i nigdzie w pismach swych nie buntował się przeciwko stosunkom społecznym, zmuszających takich jak on ludzi do korzystania z owej łaski.

Na charakter wierszy Klemensa złożyły się: jego wrodzone skłonności, otoczenie i czasy, a przedewszystkiem choroba poety. W usposobieniu swem miał istotnie chłopską lojalność, cichość i cierpliwość. Należał do ludzi, którzy o złem zapominają rychło, dobroć zaś ludzką biorą w serce na zawsze. Wiara w ludzi i w życie, serdeczna wdzięczność za każdą życzliwość, były najwybitniejszemi cechami jego duszy i jego poezji. Za to, że ludzie dobrzy łożyli na naukę jego, że w chorobie nieśli mu pomoc, że dano mu zobaczyć włoskie niebo i że do kraju powrócił — za wszystko był ludziom i Bogu wdzięczny. To też wiersze, w których pisze

o sobie i kolejach swego życia, są pełne dziękczynnego uśmiechu i cichej pogody nieskomplikowanej natury. Warunki rodzinne i społeczne były tylko gruntem, na którym wrażliwy i prosty umysł pisarza budował swoje pojęcia. Ojciec od maleńka odsuwał go od pracy fizycznej. Łożył ostatnie grosze na naukę. Potem — pomagali wielcy panowie. Wszedł w środowisko wielbiące króla, dokoła którego obracał się świat „uczony". Janicki (tak go uszlachcono) myślał i czuł to, co oni. Pisał wiersze na cześć króla, za najwyższy honor poczytywał sobie owo zbratanie z panami. Żadne niepokoje w sumieniu nie zakłócały mu stosunków z nimi.

Wieś i rodzinę kochał. Tęsknił za nimi, dla ojca miał serce pełne czci i wdzięczności. Właśnie za to wyrwanie ze wsi...

Ale przedewszystkiem był Klemens z Janiszkowa człowiekiem idącym ku śmierci. Stąd smutek i szczerość jego wierszy, stąd to ciągłe myślenie i pisanie o sobie. Bo on sam, jego smutki, jego stosunki do ludzi — to był temat najpiękniejszych jego wierszy.

Nie jest to pisarz-chłop w znaczeniu reprezentowania społecznej myśli chłopskiej. Ze wsią go wiąże tylko krew i odziedziczone po ojcach cechy — skłonności. Niemniej jest pisarzem dużej miary. Wartością największą jego talentu była szczerość uczuć, prawda i delikatność odczuwania świata i życia.

Klemens z Janiszkowa, to jedyny chłop-pisarz niepodległej Polski.

I potem — długie lata przerwy. Dopiero Kasprowicz. Dopiero ten wielki chłop i wielki człowiek wszedł śmiałym, twardym krokiem na szczyty polskiego i ludzkiego życia.

J a n K a s p r o w i c z, wielkopolski chłop.

Żył w owych latach, kiedy po daremnych walkach Polska szła ku swej wolności drogą przemian społecznych, przynajmniej w pojęciach i planach. Były to ostatnie lata ubiegłego stulecia i początki nowego wieku.

Kasprowicz był synem gospodarskim. Z rodzicami wiązały go nie tylko wspomnienia i wdzięczność za pomoc w nauce. Wiązała go stokroć mocniej wiara, że dom rodzinny i rodzinna wieś przekazały mu najcenniejszą, istotną kulturę w tradycji, obyczaju, słowie.

I jemu pomagali dobrzy ludzie. I on, dzięki niejednej łasce — mógł skończyć szkoły. Ale zbyt był wielki, aby dług ów spłacać sentymentalną poezją. Czuł się równy wspomagającym go przyjaciołom. Brał wiedzę, jako należne mu dobro. Drogi życia przechodził kolejno, spokojnie, w normalnym, iście przyrodniczym rozwoju. Więc najpierw sprawa polska, za którą siedział w więzieniu. Potem zmagania się z zagadnieniami społecznemi i śmiały, gorący bunt. Potem spokojne badanie tajemnic bytu człowieka i wszechświata — spotkanie i hołd w najgłębszej kontemplacji, oddany utajonemu we wszechświecie Bogu i wreszcie — powrót do wsi, prostoty i bezpośredniego obcowania z prawdą — w drobnych, codziennych sprawach.

Różnie ludzie o Kasprowiczu mówią. Jedni widzą go u szczytu w czasie zmagania się z tajemnicą życia, w okresie buntu; inni w ostatecznem uciszeniu, w pogodzie najmędrszego uśmiechu, w ostatnich latach życia. A kto wie, czy każdy z okresów jego życia i twórczości nie był jednako ważny i konieczny do wypełnienia jego wielkich zadań.

Jan Kasprowicz był poetą i uczonym. Z katedrą uniwersytecką łączył wiecznie żywą w nim poezję. Poezja jego ma w sobie wiele niewątpliwych cech chłopskich. Forma jego twarda jest, czasem szorstka. Niema w niej sentymentalizmu. Jest lotna, zdobywcza myśl i wielkie, proste serce.

Tradycje, nastroje, pieśni wiejskie, domowe wywarły wpływ wyraźny na jego twórczość. — Najwyraźniej zaś chłopskim jest ów sposób uderzania zawsze w sedno rzeczy, w sam środek sprawy, bez inteligenckiego kołowania, rozmazywania i mętnego wysuptelniania myśli.

Czytając „Legendę o Burmistrzance", czy o „Kostce Napierskim", czy „Moją Pieśń Wieczorną", czy wreszcie „Księgę Ubogich" — czujemy i wiemy napewno, że każde słowo jest tam ciężkie swą wagą, że każda myśl jest jasna i dokończona, że stajemy wobec życia i jego prawd — twarzą w twarz.

Kasprowicz jest mocarzem, śmiałym zdobywcą i współtwórcą Boga — nawet w najskromniejszych, najcichszych swych wierszach „Księgi Ubogich".

Wartość stworzonej przez niego literatury stała się własnością warstw oświeconych. Ożywił je, odnowił w niejednem, podniósł.

Nie wszedł w życie z gromadą. Był sam. Przejął stosunek do świata od nowego środowiska. Stąd ten fałszywy ton w jednem z ostatnich wierszy, gdzie zapewnia nas, że choć w pańskie suknie odziany i za pańskim stołem z panami wespół siedzi — myśli bezustannie o dawnych swoich braciach....

Ta bezsiła — siłacza — jest tragedją Kasprowicza!

Dlatego w „Księdze Ubogich" znajdujemy najwięcej prawdy. Poeta staje się zwykłym, codziennym człowiekiem, siedzi o miedzę z braćmi, chodzi ich codziennym gościńcem. Tu właśnie jest Kasprowicz najbardziej chłopem. Właśnie — pod koniec życia, w zbrataniu władztwa i pokory, w spokojnem zniczu miłości.

Kasprowicz jest jednym z największych, dla wielu nawet największym polskim poetą i myślicielem ostatnich lat ubiegłego i pierwszych naszego wieku. Jego chłopskość nie stała się jednak siłą odnawiającą życie tamtych lat. Chłopskość Kasprowicza dziś dopiero staje się zrozumiała i twórcza, dumna i ludzka.

I jeszcze Władysław Orkan. Nazwisko jego — Szmaciarz, bo Smreczyńskim nazywał się potem dopiero, zaś Władysław Orkan — to tylko literackie „przezwisko".

I jego słowo twarde, nie gładkie — często trudne. Z ciężkich wyszedł warunków — z większej biedy, niźli Kasprowicz. Jeśli jednak Kasprowicz wiele miał do zawdzięczenia w swej życiowej karjerze przedewszystkiem przyjaciołom inteligentom, to Orkan wszystko zawdzięcza swej wielkiej Matce. Dlatego mocniejsze i głębsze jest jego związanie z ziemią i wsią.

Powiadają, że „Drzewiej" Orkanowe większą ma siłę i piękność od „Starej baśni" i „Godów życia", że nikt nie umiał tak jak on przemówić gwarą ziemi, wody i lasu, gwarą dawnych wieków i gwarą na ziemi siedzącego człowieka.

U Orkana w przeważnej większości utworów dźwięczy ton smutku. Ale kto wie, czy w tym Franku zapatrzonym w wodę, w tym reformatorze

wiejskim, w ludziach z „Pomoru" i „Nowel" nie kołace się tęsknota do tych przemian, do których nie dosięgła myśl Orkana, choć wyczuło je serce.....

Bardziej miękkie, wrażliwe i nieśmiałe było to serce, myśl zaś mniej śmiała — jak u Kasprowicza.

Zato poznanie wsi i jej doli, zżycie się Orkana z robotą i obyczajem wiejskim, współdziałanie z ludźmi działającymi — to jakby rzec obcowanie z życiem — było u Orkana powszedniejsze, bliższe.

Jeśli Kasprowicz na sprawy świata patrzał zawsze z górskiego szczytu, to Orkan wespół z braćmi — ku tym szczytom z dolin poglądał i tęsknił.

Jeśli Kasprowicz drogi ku szczytom szukał, wiodące widział z góry — to Orkan razem z ludźmi w mozole i pocie ich, wyrąbywał....

Zawsze był w samym środku życia, nie ponad niem. Dlatego, aby prędzej oddziałać, aby już dziś pomóc, pisał „Listy ze wsi" i „Wskazania". — Cena ich dla nas wielka jest — czasem nawet przysłaniają nam one prawdziwego Orkana.

A przecież prawdziwie wielkim — jeśli mówimy o literaturze — był Orkan przedewszystkiem w onem „Drzewiej", „w Roztokach" i w „Pomorze". W tych księgach żyje śmiały, niekrępowany doraźną potrzebą talent — i tajemnica ducha lasów i gór, przez wielkiego człowieka podpatrzona.

I teraz jeszcze dwa, mało znane nazwiska: Kajetan Sawczuk i Ferdynand Kuraś.

Sawczuk — podobnie do Janickiego — pisał tęskne, bolesne wiersze w przeczuciu rychłej śmierci. Był największym poetą chłopem, w latach ostatnich przed wojną powszechną. Był wychowankiem szkoły rolniczej z owych czasów, kiedy rolnicze szkoły skupiały i tworzyły życie ideowe i kulturalne wsi. Troskliwa macierzyńska ręka kobiety - wychowawczyni i towarzyszki podtrzymywała to słabe życie i wielki bezsprzecznie talent.

Wydał mały zbiorek poezji. Niestety, tylko tyle. Bo zmarł na gruźlicę. Ale wiersze jego — choć w formie nie wyzwolone (był jeszcze tak młody!), zapowiadały przyszłość wielką, talent nieprzeciętny. Jest poetą już nie tyle buntu — abstrakcyjnego i odgórnego, ale tej niecierpliwości, gorączki i drżenia serca, czującego świt.

„Byle zwalić z piersi lody —
Z myśli głazy, dusz zapory
I wyrzucić czas!"

Byle tylko to!

Sawczuk czuł nadchodzące rano — dla Polski i dla chłopa i czuł jednocześnie swoją śmierć.

Charakteru wyraźnie chłopskiego trudno się w jego wierszach dopatrzyć. Był poetą przyszłości, był zapowiedzią talentu — ale przecież był.

I wreszcie Kuraś. Zaszczycił go Żeromski przedmową, pełną uznania i serca. I właściwie nikt o nim nie powie już lepiej. Istotnie, wartość tej

prostej książki „Przez ciernie żywota" polega na jej prostocie i prawdzie, na tej nowości tematu, ujętego przez samego chłopa.

Jedno w tej książce niepokoi: to ów okruch poezji, kiedy się Kuraś żegna z głosami ptaków i pól... Bo to już prawdziwa poezja. Z pewnością Kuraś był poetą, choć napisał prozaiczną opowieść swego życia. Nędza — praca nad siły — zabrała mu słuch i zdrowie, zatamowała pęd do wiedzy i twórczości.

* * *

Pisarze chłopi — z ubiegłych lat — dali świadectwo tej prawdzie, że mimo najcięższych, najniesprawiedliwszych warunków życia, wieś wybijała się ku górze i zajmowała miejsce pierwsze, uderzała odrazu w najgłębszy ton.

Ci „nowi" ludzie, ci wychodzący z „ludu" — jak się to mówiło — którzy nie przejmowali t. zw. kultury w domowej tradycji, wyrastali nagle na przodowników tejże kultury i jej wyznawców.

Spełnili oni swoją wielką, a ciężką rolę. Związali bowiem lata dawne z naszemi, wkorzenili nas w przeszłość narodową.

Wszyscy oni przeszli tę samą tragedję: samotność w pańskiem środowisku, bezsiłę wobec zalewającej ich obcości, często nie rażącej ich, nie widocznej.

Niewątpliwie — wychowani i wykształceni na kulturze szlacheckiej— przejęli z niej formy i pojęcia.

Tem większa zasługa, że mimo to, pozostali chłopami.

TOMASZ NOCZNICKI

PAMIĘTNIKI CHŁOPSKIE

W literaturze historycznej Polski szlacheckiej znajdujemy moc pamiętników. Wiele z nich wyszło już drukiem, bardzo wiele, zapewne, czeka swej kolejki.

I nic dziwnego. Życie szlachty było bardzo urozmaicone, barwne i ruchliwe. Szlachta była klasą rządzącą, szlachta stanowiła siłę zbrojną. I jakkolwiek w masie szlacheckiej nie było zbyt wielu ludzi wykształconych i uczonych, to przecież ogół szlachty był piśmienny. Szlachta znała sztukę pisania, lubiła pisać; pisała pamiętniki — zwłaszcza pod starość. To też w spadku po sobie pozostawiła tych pamiętników moc.

Inna sprawa, kiedy idzie o chłopów. Gdy szlachta rządziła, wojowała, sądziła i pisała o sobie — w tym czasie chłop był niewolnikiem, zapracowanym, zahukanym i najzupełniej ciemnym. Nic więc dziwnego, że chłopi tak niezbyt dawno dopiero zaczęli pisać o sobie.

Ze znanych dotychczas pamiętników, pisanych ręką chłopską, na pierwszem miejscu postawić należy pamiętnik Kazimierza De-

czyńskiego. Deczyński, syn chłopski rodem ze wsi Brodnia w b. województwie kaliskiem, nauczyciel wiejski, potem żołnierz, oficer i emigrant, pisał swój pamiętnik na emigracji we Francji. Pamiętnik Deczyńskiego przeleżał w ukryciu przeszło 70 lat, zanim go odnalazł historyk Maurycy Handelsman i z obszernym wstępem wydał w 1907 r. („Żywot chłopa polskiego").

Deczyński zostawił w swym pamiętniku obraz życia polskiego chłopa na początku XIX w. i obraz swego życia, życia syna chłopskiego, co się o krzywdy współbraci daremnie upominał, co szukał sprawiedliwości na zasadzie ówcześnie panującego i obowiązującego prawa. I w tem jest największy tragizm Deczyńskiego jak i ogółu chłopów z Brodni, że już wtedy, w dobie Królestwa Kongresowego, istniało prawo, mające bronić lud wiejski przed krzywdą ze strony szlachty, a mimo to owe prawo nijak na korzyść chłopską nie działało. Deczyński, rzecznik krzywdzonych przez szlachcica swojaków, nigdzie tego prawa nie znalazł i został przez dobrze zorganizowaną sforę szlachecką zniszczony, zgnębiony, sponiewierany i wkońcu unicestwiony.

Pamiętnik Deczyńskiego zasługuje na najwyższą uwagę i powszechne wśród chłopów zainteresowanie swoją ciekawą, pouczającą, dużo dająca do myślenia treścią. Jest to, doprawdy, dokument, pisany krwią i łzami.

Świetny pisarz Leon Kruczkowski wykorzystał umiejętnie pamiętnik Deczyńskiego, dając przed paru lat swoją znaną powieść p. t. „Kordjan i cham", następnie przerobioną na scenę.

Dotychczas nic nie wiadomo o istnieniu jakichś pamiętników chłopskich, pisanych przed zniesieniem pańszczyzny w trzech zaborach. W czasach po uwłaszczeniu chłopów wieś zaczyna się powoli ruszać ku światłu, coraz więcej znajduje się tam ludzi, umiejących pisać. Pisma ludowe, gęsto powstające w tym czasie, korzystają już ze współpracy chłopów. O pamiętnikach chłopskich jednak wciąż jest głucho.

Wiek XX dopiero przynosi chłopskie książki-pamiętniki. W r. 1904 wyszła w b. Galicji głośna książka Jakóba Bojki p. t. „Dwie dusze". W swoim czasie była to książka poczytna, to też doczekała się powtórnego wydania (1909). Praca Bojki nie posiada właściwie cech pamiętnika; traktuje ona o polityce Stronnictwa Ludowego i jego walkach na terenie b. Galicji.

W r. 1912 ukazał się w Krakowie „Pamiętnik włościanina" Jana Słomki, wójta w Dzikowie, w pow. tarnobrzeskim. Piękna to książka, przedewszystkiem — pogodna.

Jan Słomka urodził się w Dzikowie 22 czerwca 1842 r. i tam zmarł 26 marca 1932 r. Ładny to był wiek: 90 lat! I życie piękne, spędzone na jednem miejscu.

Pamiętniki Słomki posiadają dużą wartość przez to, iż odtwarzają życie wsi polskiej na przestrzeni lat 70. Słomka sięga wstecz pamięcią aż do czasów chłopskiej „rabacji" w r. 1846. Zapewne, gdyby Słomka rozumiał istotę wypadków i przyczyny, które je spowodowały, toby mógł oświetlić je głębiej. Uczynić tego nie mógł, to jednak co dał — jest cenne i godne poznania.

Oto garść szczegółów tego ciekawego pamiętnika: Słomka ożenił się młodo w wieku lat 19; zaczął gospodarować na sześciomorgowem gospodarstwie. Był jednak nielada bogaczem: 40 wozów gości jechało na jego ślub; wesele trwało cały tydzień. Ze swoich sześciu mórg musiał utrzymać i wychować młodsze rodzeństwo, a potem je pospłacać; wykonał to jaknajakuratniej. Ówczesne życie Słomki — to życie każdego pracowitego, trzeźwego i porządnego chłopa. Trochę czytać i pisać nauczył się nie w szkole publicznej, bo takich podówczas w b. Galicji nie było, lecz w szkółce prywatnej hr. Tarnowskiego w Dzikowie. Był więc chłopem piśmiennym, co było rzadkością na owe czasy. Zostawszy wójtem, uzupełnił swoje niewielkie umiejętności w pisaniu i rachowaniu. A wójtował Słomka długo, bo około 50 lat. Nie zbogacił się na wójtostwie i nie spaniał; pracował ciężko przez całe życie; wypalał wapno i cegłę, dorabiał się, wychowywał dzieci; wykształcił syna, który następnie pamiętniki ojcowe do druku przygotował. Pod koniec pamiętników Słomka — jako długoletni, doświadczony wójt — dał wiele pożytecznych rad, odnoszących się do życia gromadzkiego i osobistego. Za największe zło wsi uważał alkohol. Dożył Niepodległości i kilkanaście lat żył jeszcze w wolnej Polsce, ale przeżyć swoich z ostatnich lat życia już nie opisał.

Słomka zyskał sobie swym pamiętnikiem poczesne miejsce wśród chłopskich pamiętnikarzy. Dla badacza stosunków wiejskich są pamiętniki Słomki wielką kopalnią wiadomości i szczegółów.

Drugim z terenu b. Galicji pamiętnikiem chłopskim jest pamiętnik Ferdynanda Kurasia, zatytułowany „Przez ciernie żywota"; wyszedł drukiem w Częstochowie w r. 1925; piękną przedmową poprzedził go Stefan Żeromski.

I rzeczywiście, życie Kurasia, biednego szewca wiejskiego, to cierniowa, kolczasta i kamienista droga przez życie. Urodził się w r. 1871, z ojca alkoholika, już zupełnie ubogiego i do żadnej odpowiedzialnej pracy niezdatnego; po rodzicach nie dostał nic, choć dziad posiadał jeszcze sześciomorgowe gospodarstwo. W siódmym roku życia — ogłuchł zupełnie. Chcąc się nauczyć rzemiosła, poszedł do terminu do szewca (żyda). Zanim jął się terminowania u majstra, nacierpiał się wiele biedy, nędzy, poniewierki i tułaczki wraz z rodziną. Ciężki alkoholizm ojca rujnował życie całego domu.

Ferdynand Kuraś był urodzonym poetą. Odgrodzony kalectwem od gwarnego życia, nauczywszy się czytać i pisać od ojca, który — o ile mu na to chorobliwy nałóg pozwalał — pełnił obowiązki pisarza gminnego i nauczyciela, osamotniony przez kalectwo — każdą chwilę wolną poświęcał czytaniu. Przez rozczytywanie się w dziełach patrjotycznych stał się szczerym, uczuciowym patrjotą; był pobożnym, głęboko wierzącym człowiekiem.

W pamiętniku swoim zawarł dzieje swego ciężkiego żywota. Wiele też miejsca poświęcił zwyczajom i obyczajom ludowym.

Dużo pisał wierszem. W pięknych jego poezjach nie występowała nuta społeczna. Patrjotyzm, kalectwo, marzycielstwo, usposobienie cierpiętnicze nie pozwalały mu dostrzegać, że bieda jego i rodziny pochodzą z jednego źródła: — z wyzysku; że jego brat pracuje cały dzień za 10 centów; że chociaż i on, i ojciec, i matka, i brat wciąż harują ponad siły, to

jednak nie mają nawet na dostatnie wyżywienie. Sam był dobrym i wziętym szewcem, roboty mu nie brakowało — jednak zapłata za pracę zawsze była licha.

Pomimo pracy i biedy — Kuraś rwał się do czytania; książki dostawał od wikarego; potem zwrócił się po nie do dziedzica Dzikowa, wybitnego uczonego i profesora uniwersytetu krakowskiego hr. Stanisława Tarnowskiego, który chętnie prośbie uczynił zadość. Wdzięczny był biedny kaleka przez całe życie za to dobrodziejstwo.

Chciano temu pieśniarzowi wsi polskiej, temu człowiekowi dobremu, zacnemu i serdecznemu ulżyć w ciężkiej doli. Znaleźli się ludzie dobrej woli, którzy myśleli nad daniem Kurasiowi czegoś w rodzaju „daru narodowego". Nie potrafiono tego jednak uskutecznić w pełnej mierze.

Kupiono mu jedynie kawałeczek gruntu (nieco więcej od morgi!) i trochę materjału na chatę; na wykończenie budowy musiał włożyć cały swój zasób pieniężny.

Doczekał się Niepodległości, o którą się modlił: „Daj mi Boże widzieć przed śmiercią Ojczyznę wolną oczyma żywemi". Zmarł 3 grudnia 1929 r. Za wielką jego miłość wsi polskiej, za gorycze życia, za to, że w twardem życiu zachował „poczciwe imię i czyste sumienie" — winniśmy go czcić, pamiętać o nim i o jego dziele pisarskiem.

Trzecim pamiętnikiem chłopskim z terenu b. Galicji jest „Żywot chłopa działacza". Napisał go Franciszek Magryś.

Magryś urodził się 23 września 1846 r. we wsi Handzlówce w przeworskiem. W tej rodzinnej wsi przeżył i przepracował całe swe życie, życie długie, bo dożył lat 87.

Życie Magrysia, to ciężki dramat. Ubogi, wcześnie stracił ojca; chociaż bity i zapracowany, przecież od dzieciństwa rwał się do światła wiedzy; uczył się jako samouk, aby następnie uczyć inne dzieci. Imał się różnych zajęć; był kolejno szewcem, tkaczem, wyrobnikiem. Zwalczał w swej wsi pijaństwo i złe występki karczmarza żyda, który był jednocześnie karczmarzem i pisarzem gminy; w karczmie u niego mieścił się urząd gminny. W 28 roku życia został sam pisarzem gminy. Nie ustawał w walce o dobro gromadzkie wsi i dopiął swych zamierzeń; przestarzałe obyczaje i nałogi współmieszkańców wsi powoli zaczęły się zmieniać ku dobremu. Tworzył instytucje użyteczności publicznej, wychowywał i przygotowywał w nich współpracowników. Nie chcąc mieć w swej pracy przeszkód — zresztą sam szczerze wierzący — szedł razem z księżmi, budował kościół i plebanję, ale budował i szkołę, i dom ludowy, i sklep spółdzielczy, i maślarnię — słowem, w ciągu długich lat pracy zmienia zupełnie oblicze Handzlówki.

A przecież Magryś, to męczennik w życiu osobistem. Rodzinne życie miał bardzo ciężkie; żona, chora na obłęd, traciła dzieci. Nie oderwało to jednak Magrysia od pracy społecznej. W najcięższych dopustach zachowywał hart i pogodę ducha.

Młodzież chłopska powinna zapoznać się z pamiętnikami Magrysia. Znaleźć tam można wzór i naukę pracy i wytrzymałości. Przemiana ubogiej wsi o kurnych chatach i starodawnych urządzeniach w wieś zamożną i postępową, przemiana dokonana przez jednego człowieka o otwartej

głowie i sercu, oddanem sprawie społecznej, służy jako piękny przykład do naśladowania.

Żywot Magrysia, to żywot cichego pracownika wsi polskiej, a jednocześnie bohatera twórczego czynu. Lud polski powinien otoczyć to imię czcią i chwałą.

Dużym rozgłosem cieszyła się przed paru laty wydana w Poznaniu książka-dokument Jakóba Wojciechowskiego p. t. „Życiorys własny robotnika polskiego". Rozległa to księga, o prawie pół tysiąca stron większego formatu. Odznacza się wielkiem bogactwem treści, świadczącem o talencie autora, o jego świetnej pamięci i darze spostrzegawczości.

Wojciechowski urodził się w r. 1884, w małej wiosce Nowiec, w powiecie śremskim (Poznańskie). Jest więc pierwszym chłopskim pamiętnikarzem z Poznańskiego.

Poznańskie uchodziło zawsze i jeszcze dotąd uchodzi za wzór kultury, dobrobytu, rozwoju urządzeń społecznych oraz moralności. Książka Wojciechowskiego zadaje kłam owym utartym pojęciom. Mówi ona słowami prostemi i prawdziwemi o wyzysku ludzi ubogich, zwłaszcza po dworach, o łajdackiem wprost stosunku różnego typu oficjalistów dworskich do robotnic — kobiet i dziewczyn. Wojciechowski opowiada m .in. jak to, mając lat 12, był znieprawiany przez dworskiego karbowego, lżącego najohydniejszemi wyzwiskami pracujące dziewczyny (co się zresztą i dziś powszechnie po dworach praktykuje). Opowiada, jak, nie znalazłszy pracy w kraju ojczystym, ani możności do życia, poszedł do Niemiec na zarobek i pochlebstwem go znalazł; jak pracował, zarabiał, oszczędzał, ojca od zmarnowania (on — dziecko piętnastoletnie!) uratował; jak całą swą prostaczą wiarą kochał Polskę; jak w czasie służby na wojnie w Belgji przerósł o całe niebo humanitaryzmem oficera niemieckiego-inteligenta; jak optował do Polski, rzucając w Niemczech dobrą pracę, jak zaoszczędzone talary i marki pożyczył Polsce, aby po jakimś czasie grosze za to dostać i jak dziś cierpi w kraju biedę.

Wojciechowski dotknął śmiało t. zw. spraw drażliwych; szczerze i otwarcie opisał swe przeżycia i wrażenia, niczego nie ukrywając. Znajdą się tacy, którzy się będą gorszyć i nazywać „nieprzyzwoitością" pewne sceny i obrazy, występujące u Wojciechowskiego. Nie należy się jednak gorszyć ową nagością faktów, gdyż przecież są to rzeczy powszechnie znane i praktykowane, tylko się je okrywa figowym listkiem obłudy. Zresztą sam Wojciechowski, to mocno wierzący katolik. Jako pisarz jednak nie hołduje obłudzie i kłamstwu; umiłowanie prawdy jest jego naczelnem wskazaniem.

Skolei trzeba się zająć smutnym — ba, okrutnym pamiętnikiem zbiorowym, dotyczącym naszych, wszechstronnie kryzysowych czasów. Są to „Pamiętniki chłopów", wydane przez Instytut Gospodarstwa Społecznego w Warszawie w 1935 r.

Straszna to książka i okropna, pisana nietylko łzami i krwią, ale i jadem, zdolnym zatruć człowieka, co ma serce, rozum i sumienie, co kocha Polskę nie jako pojęcie geograficzne, nie kawał globu ziemskiego, nakrytego firmamentem, ale co kocha i człowieka mieszkającego na tej ziemi od prawieków, — człowieka, który na niej pracuje, który się z nią

zrósł i zespolił w ciągu długich stuleci niewoli, wyzysku, bezprawia i uciemiężenia i który wreszcie nie wolą własną ani wolą klasy rządzącej, ale — co najsmutniejsze — wolą, nakazem i siłą państw zaborczych został z niewoli wyzwolony i ziemią choć częściowo nadzielony. Chłop polski! Ten chłop, który, osiadłszy na polskiej ziemi, zaraz się na niej zagospodarzył, kraj zaludnił, puszcze wykarczował, chleba, mięsa i wszelkiej żywności dostatek pracą swą na użytek wszystkich mieszkańców nasporzył. Ten chłop, przed którym szczelnie zamknięto przybytki wiedzy i oświaty, umiał jednak pracą, wytrwałością i zdolnością zdobywać wiedzę i powiększać swym dorobkiem kulturę polską. Ten chłop, któremu z wiadomych przyczyn odebrano prawa człowieka i obywatela, posiadł własną, nabytą ziemię z „tytułem własności — bez prawa własności!".

Ten właśnie polski chłop przemówił w „Pamiętnikach". 51 chłopskich pamiętnikarzy dało obraz swej niedoli, zawołało wielkim głosem o pomoc i ratunek.

Gdy się czyta tę księgę — dokument, jedno uczucie owłada człowiekiem: ból i przerażenie. W duszy odczuwa się tę samą truciznę, jaką truje się dziś wieś polska.

Pamiętniki, choć naiwne nieraz w swej prostocie, są historycznym dokumentem Polski odrodzonej — tej Polski szlacheckiej, która kiedyś w ciągu długich wieków nie załatwiła żadnej ważnej sprawy ustrojowej, a w dobie współczesnej ma dla ludu tylko niechęć i odrazę, niszczenie i rabunek praw, wyzysk i gwałt nad bezbronną masą.

„Kiedyż zadnieje?"

WOJCIECH SKUZA

WIOSENNE POZDROWIENIE CHŁOPSKICH PTAKÓW

(Fragment z poematu „Fornale".)

— Jam nigdy po drzewach słowiczych nut nie rozpinał,
bo — wolę wrzeszczeć rozpaczą, jak kogut —
— pocóż gałęzie pieśni mdłem roztęsknieniem zginać,
Gdy nam trza pieśni ciężkich, jak stogi —

Ja — wprawdzie kocham skowronków trelne klarnety
i lubię słuchać w noc księżycową ciszy —
— lecz poco dźwięczne rozsiewać ziarna przez przetak,
gdy życie pieśnią, jak trawa dyszy —

Słuchajcie ino, jak ponad stadem kur zlęknionych
swobodą kwitnie śpiew koguci —
— klekot bocianów, świergoty wróbli w strzechę wtulonych
palą się hymnem. Wiosna znów wróci!!

Posłuchaj, bracie, jak rozpaczliwie noce
wrzask twych kogutów na strzępy targa —
— zmiana pogody, świt, burze, brzask i złe moce
kogut ci niesie na śpiewnych wargach! —

A już nad wszystko słuchaj, jak na uwrociach
chłopski ptak — wrona — mordę rozdziera —
— kruk zawsze z tobą!! — W gromadzie, słońcu, czy w słocie
wesele czyni — — —
— a —
szlachcic ptaki te sponiewierał!!

I — od stuleci, odkąd na drzewach pieśń się uskrzydla
co ziemią wrzeszczy — za strach uchodzi —
— odkąd nam szlachcic w łeb kołkiem nazwę wprał: „bydle!” —
odtąd słowika od czarnych z ziemi wron odgrodził — — —

I kwitły pieśni mdłe po altanach i parkach,
panienki w dworach mdlały od liści zwiędłych —
— w pieśń polską słowik litość i „och”, „ach” smarkał
a wiotkie nici czucia — jaskółki przędły!

— O — chciałbym, bracia, pozbierać chłopskich ptaków wrzaski
w rytm je ułożyć i ziemią dyszeć dumnie —
— a już nad wszystko chciałbym, gdy w noc brzask pieśnią trzaśnie
krakać, jak kruk i wrona — ponad ostatnią szlachty trumną — — —

STANISŁAW PIĘTAK

ZIEMIA ODPŁYWA NA ZACHÓD *)

(Fragment)

Szeregi, szeregi. Twarz za twarzą jak cienie na fali.
Czoło wojska wszyło się w zaułek, gdzie dwie topole
przechyliwszy się ku sobie, konarami objęły się jak siostry,
a końca jeszcze nie widać — terkocą
monotonne wozy armat, rytm ich daleki lecz ostry
uderza o usta: dalej, dalej, dalej!

---

*) Poemat pod tym tytułem ukazał się w tych dniach na półkach księgarskich.

Nagle galop. Wódz na siwym koniu
przejechał i przed front żołnierzy coś krzyknął po rosyjsku.
W jednej chwili wąż olbrzymi wojska pochylił się ku ziemi,
zadudnił dalekiem echem, stanął.
Błyszczy słońce w bagnetach, żołnierze
ocierają rękami twarze potem zlane.
Znów tętent. Wódz na ulic skrzyżowaniu
koniem się wspiął i jednem słowem
szarpnięty świat uczuć żołnierzy jak taśmę rozwinął.
Wszyscy nabici w jeden krzyk — krzyknęli
i szybko zapełnili rowy falą huczącą, białosiną.

* * *

O słońce! rumiane płaty światła
uciekały ku tęskniącym cieniom płotów.
A z chmur — porwanych na bandaże szlochów
ciekły włosy dymu, cisnąc się do ust.
Postój w złotawej wiosce — niejeden westchnął
do więdnących nad płotami splotów
dziewczyn, co smagłą cerę czesały
chyba w oparze poranka: różanego snu.

Jaka nazwa? — Lecz co to ci powie?
Wystarczy, że po wielu dniach wspomnisz tę surową woń chat
w czarnym wilgotnym dole.
Oczy całują zakręt żółknących drzew
i to ziemniaczyskami uchodzące w siność pole.
Już za chwile otoczyłyby cię dymy dalekiego kraju,
więc: wstać! Podkowy zatętniły na szosie: alarm!
Żołnierze zepchnęli wspomnienia z ócz i skoczyli po broń,
wnet drogą wiła się z powrotem płowa, dudniąca fala.
I tylko drzewa zaszumiały liśćmi,
szumem otuliły niejedną młodą głowę.

Dalej, dalej! O czem myśleć — chyba o śnie
długim bezpamiętnym, o spoczynku nowym.

* * *

W złotoróżowem świetle ludzie wracali do chałup.
Błyszczał staw, chude drzewa zwisły liśćmi
nad wodą, rozwłócząc w głębi ścieżkę żalu.
Kobiety szły wolno, ręce pod słońce unosząc do oczu.
Za niemi dziewczęta, szepcząc — tuż kudłate psy.
Chłopcy na końcu. Nad wioską siwy wieczór
niósł tę ciszę jesienną, co była z dymu, z wonnej mgły.

FRANCISZEK SURÓWKA

W POLACH

I ucieszyły się we mnie myśli i uczucia południa letniego spokojem,
i rozśpiewały się wargi w zorzach, co wschodem jaśnieją:
przejrzało się w mej duszy niebo, jak w biegnącym zdroju,
i rozwarł mi się biały dzień niezwykłą koleją,
żem nalazł, nie szukając, serce ciche, proste,
jak te kwiaty, co budzą się bezwiednie słońcem wczesną wiosną.

Rozradują się oczy jutrzaną godziną,
rozdnieją źrenice w białych świtach,
żem nalazł, nie szukając, miłość, wszystkich inną —
ta nie zna cieni żegnań, a wieczna w niej radość powitań.

A z tobą mówić mi nie trzeba słowem jak te prostem;
miłowanie nas święte wysłowi, wyręczy —
jest słońce, którem kwiaty wczesne bujnie rosną,
jest słońce, w którem dusza i lepsza i mędrsza.

I ucieszyły się we mnie myśli i uczucia,
otwarły się na głosy przedwiecznych upewnień —
południa, co jak świętość, nic, nikt nie zakłóca,
a serce się wsłuchuje w pól szeroką rzewność.

STANISŁAW MŁODOŻENIEC

WIATER

(Widowisko w 3-ch aktach — finał aktu 3-go)

GŁOS WIATRU

Musi się w gminie zacząć ład:
Od jutra, ludzie, przykazanie!

WSZYSCY

Do chłopskich łap
bierzemy świata pranie!...

KIECOWA

O mój Jezu,
nie ustanie:
wcoraj prałam,
znowuj pranie...
Taką zajdź...

ŚMIECH *(który stał w głębi, trzymając olbrzymie słonie na bijaku od cepów, podchodzi do Kiecowy. Na słoniu krępy, pucułowaty chłop z kijem w garści).*

Tak, kumoska —
ciogle prać!...
Hu! ha! ha!
Jozem dostoł,
wicie, dor!...
Ha! ha! ha!
Zem sie rusoł,
doł my Wiatr...
Hu! ha! ha!
Zem sie śmioł,
słonie mom...
Hu! ha! ha!
Tak, kumoska —
Prać, kumoska —
bedzie schło!...
z wolo Bosko
słoniem dostoł —
w słoniu chłop...
Tak, kumoska —
ciogle prać!...
siłe zbirać —
brud wypirać...
prać! prać! prać!...

KIECOWA

A niechze se —
to poniese —
bede niść...
Chce sie, nie chce
z kumem lekcej —
póde iść!...
Niechze ze se
ku uciese —
póde iść!...

3-ch Z MIASTA *(zbliżają się do Kiecowej, śpiewają)*

Do was, Matko, przylecielim —
U was, Matko, świat się zbielił...
Lecą ptaki do swych gniazd —
Wróciliśmy z wielgich miast...
My sie świata wywiedzieli,
U was, Matko, czas się zbielił...
Lecą ptaki do swych gniazd —
Wróciliśmy z wielgich miast.
Zakaszemy tu rękawy...

WSZYSCY

Do roboty człowiek nawyk —

3-ch Z MIASTA

Wróciliśmy z wielgich miast...
Do budowy wspólnych gniazd...

PAROBKI. Robota... Robota...
DZIEWUCHY. A ino jak?
PAROBKI. Robota!...

(W czasie śpiewania już parobki i dziewuchy ustawiają się parami do pochodu na czele z Julką i Stachem — dalej Maryna z Jasiem Wichorem i t. d. Przed wszystkimi staje Śmiech ze Słońcem i obok niego z jednej strony KŁACOK z drugiej KIECOWA. W głębi koło figury głupi Duda i ks. Wikary. W czasie gdy pochód się szykuje— ks. Wikary klęka przed figurą i mówi modlitwę — —

Ks. WIKARY

Piękności Boża,
weźmij w opiekę
ten ludzki pożar
i huczną rzekę —
i blask — i farby...
Niebieska Pani,
z odwiecznym skarbem
chodź między nami!...
I w skwar, i w słocie —
w suszy, w potopie,
Matko Dobroci,
bądź między nami! —
Bądź Twoje chłopię!

(Pochód już gotów — Kłacok podejrzliwie przygląda się chwiejącemu się na kiju słońcu).

KŁACOK *(do Śmiechu)*

Un nie bije
z takiem kijem?
abo batem?...

ŚMIECH

Ha! ha! ha!
jaki smark!
Wis? ten wujek —
takich, jak ty —
un całuje.

(Zniża i przykłada słońce do twarzy Kłacoka, wreszcie potrząsa niem i daje znak do pochodu — wchodzą wolno na most.)

DZIEWUCHY *(zawodzą pieśń)*

Stąpa słońce nase
da potrząsa grzywą...

PAROBKI

Ej, zadarty dasek —
napęcniały zywot

DZIEWUCHY

Nase słońce stąpa —
z niem sie naród skumał.

PAROBKI

Droge po wykopach
wyprowadzi tu nom.

DZIEWUCHY

Z namy wiater leci —

(Nad miastem stanęła tęcza)

PAROBKI

Z namy piski dzieciąt

DZIEWUCHY

Z namy tęcza pcha się —

PAROBKI

Z namy Wielgi Janek.

(Śmiech ze Słońcem staje po środku mostu — za nim Kłacok i Kiecowa. Obok: z jednej strony sznurem dziewuchy, z drugiej — parobki... W tym też czasie ks. Wikary, głupi Duda i inni wychodzą na przód sceny. Za nimi rusza powoli i zbliża się figura. Suną też po ziemi trzy aeroplany. Muzyka, motyw śmigła puszczonego w ruch, przypominający motyw ćwierkania wróbli z prologu, wreszcie wszyscy klękają — stoi jedna Julka.

JULKA *(śpiewa)*
Słonecko, słonecko —
tyześ Boze dziecko —
paluskamy dajes —
nie załujes...

STACH *(powstaje)*
Miłowanie dajes —
nie załujes...

ŚMIECH
Radość światu dajes —
nie załujes...

KŁACOK
Ciepło ludziom dajes —
nie załujes...

WSZYSCY *(wstają)*
Słonecko! słonecko —
tyześ Boze dziecko —
nie załujes...

Kurtyna

JÓZEF MORTON

NOWY CHLEB

(fragment)

— Siotke mi zabroł policjant! — Więcej nie wypowiedziały jego wąskie, bezkrwiste wargi.

I usiadł całym ciężarem swojego wysokiego wzrostu na długim, sosnowym zydlu, który w tym samym momencie zatrzeszczał i przechylił się lekko na bok. Jedną bowiem nogę miał przyprawioną, źle wbitą i krótką.

— Jakto? — poderwało zmiejsca Jantośkę.

— I dołeś se siotkę wziość, dozwoliłeś, ty?

— Cóz! Mozem się mioł bić? Choroby! — padają twarde splunięciem słowa, a potem z trudem wysmykują się przez zaciśnięte zęby:

— Od trzech dni, pedoł mi Suwoj: „nie wolno". Policjo, jak te osy, loto i zabiro. Organiście, niby, ze sie to z niemi zno, wedki nie wzini, ale innym het pobrali. Pitule, Pinkasowi, Banasikowi, Waloskowi — wylicza szereg nazwisk.

— To co teroz bedzie? — siada tuż przy nim i patrząc mu w oczy blado-niebieskie, pyta.

— Co bedzie? Po prośbie? Z torbami? — wykwitują na jej wargi pytania, załamują się spazmem niemocy ramiona, dręczone myśli pozostają bez odpowiedzi.

Była siatka, wolno było ryby łapać. Teraz nie, teraz nie! — trzepocze go, szarpie i pyta:

— Co bedzie?

A potem:

— Stasek! Ulituj się i zrób co! Stasek! Moze przeprosić, moze — Co chces, rób! Idź do gminy, do wójta, pisarza, molestuj. Uni przecie ludzie...

— Psy, nie ludzie! — przerywa ostro, jakby kto przeciął nożem.

— Cóz ty se kobito myślis, ze pisorz, a policjant to nie jedno? Jeden drugiego cigiem broni i podpiro, bo z jednego pieca mają chlib — i znów zamilkły jego wargi.

— Tak, ale jak przedstawis, to moze cie wysłuchajo, moze — Stasiek, nie zapamientuj sie, inok mnie słuchoj — tłumaczy mu, podsuwając pod jego zamglone zamyśleniem oczy jedno: — prośbę. A chodzi tylko o odzyskanie zabranej sieci, o pozwolenie łapania ryb w rzece, bo inaczej —

Nie odpowiada nic. Zacisnął jeno szczęki, aż zachrobotały zęby i siedzi. Nogi podgiął pod zydel. Bose. Powyżej kostek nogawki spodni zwinięte w obwarzanki. Brodę, nieogoloną, wtłoczył pomiędzy grube dłonie i myśli. Chcą przebiec błyskiem spokojnego zrozumienia minione wypadki i zdarzenia. I z roztrzepotanego podenerwowania nie może.

— Tak! — mówi głośno, jakgdyby dawał komuś odpowiedź i dźwiga się z zydla.

— Stasiek! — przeciek ty wis — odzywa się cichy, żalny głos. Rwie się mokremi od łez słowami.

— Co?

— Ze tak ni moze być!

— Wim!

— No i co

— Nic! — oczy jego wybiegają przez wąskie. zakopcone okno na dwór. Nawprost niego rozwala się pokraczna chałupa Pituły, tego samego, o którym przed chwilą wspominał. Drzwi napół rozbite. Okno bez futryn. Brakuje w niem dwuch szyb. Żeby jednak do mieszkania nie wiało, dziury zatkano staremi portczętami najmłodszego syna Pituły. Niezdatnemi już do właściwego im użytku.

— Jantośka, — odwraca się ku izbie — oddałaś dwie zopołki Pitule?

— Beła Franka rano.

— To dobrze — i dalej patrzy na stojącą naprzeciw jego okna chałupinę. I przypomnieniem wyrasta mu przed oczyma sam właściciel tego budynku. Ze wszystkiemi zaletami i wadami. Tych drugich jest mało. Jego jednak ślamazarność i jakaś dziwna nieporadność nie podobały się wielce Staszkowi. To też zawsze, ilekroć go tylko spotkał, czy to u rzeki, czy na wsi, zawsze mu wymawiał to rozciamowanie się i nieumiejętność poradzenia sobie w niektórych, bodaj błahych potrzebach.

— Francisku, nie bydźcie babą. Dzieci mocie, babe mocie, a tako z wos niesklecono klikota. Jak rajzia.

Franciszek, na takie przymówki czasem odmruknął coś. Częściej jednakże milczał. Staszka bardzo lubił. Może dlatego, że jeszcze z jego ojcem, Michałem, chodził razem na ryby. Wymykali się, jak cienie, wieczorem, wracali nad ranem. Zawsze z rybami. Teraz rybuje, a właściwie rybował ze Staszkiem. Od kilku bowiem dni łapać ryb nie wolno. Zabroniła policja.

— Jego weźnie na utrzymanie syn, co jest rymarzem, ale jo? —

Po długiem kluczeniu zadaje sobie Staszek pytanie: „co robić? — na które cotylko nie odpowiedział Jantośce, — i przeraża się. Nie znajduje na nie w swoich myślach żadnej odpowiedzi.

— Tak, co robić? Po prośbie? — powracają dawne, bardzo dawne, a dopiero-co wypowiedziane słowa i poczynają kąsać jego spokój, jak wściekłe psy.

— I mówio, ze jest dobrze, ze mozno zyć. Cholery! — trzaska drzwiami, że aż targnęło się zardzewiałem skrzypnięciem żelaziwo zawias.

Na krótko przed zachodem słońca wyszedł z domu. Ścieżyną wąską, wydeptaną ciągłem łażeniem, wzdłuż całej chałupiny Cygana, skierował się wgórę. Minął powolnym krokiem gorzelnię, teraz bezczynną, szeroko rozsiadły, jak kwoka, czerwony budynek, wspiął się na wał kolejowy i prosto, jak strzelił, puścił się w drogę ku Pińczowowi.

Drogi coraz ubywa, a jego myśli markotnie gmatwają się i rytmicznie, jakgdyby przepływały wraz z krwią, uderzają pulsem w skronie. Zgięty, z potarganą, połataną kapotą na grzbiecie, z sękatym kijem w ręku, het!

Trzeba iść! Inaczej nie można. Dłużej nie można głodować. Staszek, mały synek płacze, Jantośka płacze i przeklina cały świat.

— Stało sie, psiakrew!

— Tak, stało sie — powtarza w myślach, stawiając coraz prędsze kroki. Obchodzi dokoła góry, spuszcza się lekko wdół, a skądś, z pomroków sunącego ociężale wieczoru wysuwają się koszmarne pomysły i poczynają rozrywać w nim spokój i zapamiętanie się.

— Trza beło lunąć!

— Nie! — odpowiada. Cóżby przez to uzyskał? Policjant byłby spewnością jednem trzaśnięciem rozwalił mu łeb, ubił jak psa. Tyleby miał.

— Nie mecyłbym sie! —

A tak trzeba spewnością z głodu zdechnąć. Jak pies. Do roboty go nigdzie nie przyjmą, wiadomo, jest cyganem. Zawodu innego nie zna, a na głowie żona i Stasiek. Stasiek, proszący niemym głosem o chleb. Nie chce łakoci, nie żąda galantego ubrania. Prosi o chleb, którego już od kilku dni nie widzi wcale. Chyba, że u obcych dzieci na drodze. U niektórych.

— Tata, chleba!

I on, — ojciec, chleba mu nie dał i dziś dać nie może.

Kręcił się tu i ówdzie za robotą u gospodarzy, błagał wójta o zapomogę. Napróżno. Gdybyż to chociaż były już żniwa. A to dopiero za kilka dni. Jeszcze przez te kilka dni musi się niejeden męczyć, spozierając smętnie w kąty brudne i żywić się tylko podbieranemi kartoflami. Wczas żniw prędzej ktoś zawoła do roboty, obdzieli ciepłą strawą, pozwoli zarobić kilkadziesiąt groszy. Prawie na chleb.

Dziś bebechy skręcają się z obsetnego głodu i krzyczą: jeść!

Więc wyszedł. Dowiedział się od Klimka, że na pińczowskiem żyto stoi prawie - że dostałe. Że za jakie dwa dni zadzwonią sierpy. On nie będzie dłużej czekał. Nie może. Sprawdzi. A, jeżeli będzie się nadawało już pod sierp, naścina kłosi, przyniesie, Jantoś ususzy w piecu, wymłóci, na żarnach zmiele i będzie placek.

I to już jutro na południe może rozkoszować się wonią ciepłego, z nowego żyta upieczonego placka. Będzie napewno zakalec, ale przez kilka dni wystarczy. Do żniw napewno. A, jak zaczną żąć w Chrobrzu, wtedy

będzie już inaczej. Wyjdzie w trójkę pomóc gospodarzom. A jeśliby nawet nikt pomocy jego nie zapotrzebował, to w tę samą trójkę pójdzie na pola zbierać kłoski. A później uchwyci się może przy jakiejś robocie. I cieszą się jego oczy myślą, że to jutro nie będzie tak przeraźliwie ciężkie do przeżycia, że może zło zniknie, a on, rozwierając oczy, pierwsze spojrzenie złoży na kawałku czarnego chleba.

Przeszedł bokiem Osławice, ukośnym łukiem przeciął pola Młodzaw Małych, po prawej ręce pozostawił rozrzucone bezładem Młodzawy Duże — i teraz zagłębia się swoim cieniem w rozszemrany wieczorną modlitwą las. Wkrótce go przejdzie i, jak okiem sięgnąć, roztoczy się przed nim obszar lekko piaszczystych pól, porosłych żytami, pszenicą, jęczmieniem. Aż pod sam Pińczów.

Żyto! — słyszy, jak faluje dostaniem.

— Zyto, moje zyto, jo cie tak pragnę, jogem po ciebie przylozł jaze z Chrobrza, ukraść cie troche, na placek — wyrzucają cichcem wargi wąskie, a dłonie wyciągają się, chwytają długie, napęczniałe kłosie. Dostałe już. Natnie dużo. Ukradnie. Ile tylko będzie mógł.

Drżąco wysiepuje spod kapociny płachtę, dużą, lnianą, połyskuje sierpem i prędkiemi ruchy zaczyna ścinać. Pełnemi garśćmi. Nie myśli o niczem. Nawet o tem, że kradnie. Zaślepiło go żyto.

Poza kołyszącemi się faliście kłosami nie widzi nic. Ma przed sobą tylko długie, grube kłóski, z których już jutro będzie chleb.

— Świeży chleb. Stasiek nie będzie już łaził z żołądkiem, pełnym nowych, kradzionych w nocy, ziemniaków.

Gruby cień przerzuca się z miejsca na miejsce, chybocze.

A sierp coraz więcej zagarnia półkolem, coraz więcej chwieje się poza nim pustych, wysokich źdźbeł, pozbawionych ziarnistych okiści. I pośród nich wyprężył się, przystanął. Otarł rękawem czoło i obejrzał się trwożnie poza siebie.

— Wystarcy!

Twardemi dłońmi zagrabia rozsypane kłosie, zbija nakupę, z pośpiechem wiąże rogi płachty. Schyla się ku ziemi ,rękoma chwyta pozostałe końce i zarzuca na ramiona.

Kolanami wparł się w rolę, przechylił, podparł prawą ręką i wolno z ciężarem na plecach wzniósł się białą plamą lnianego płótna, gdy nagle jakimś strasznym impetem siepnięto go wtył, a pomiędzy żebrami przesunięto mu długi, żelazny, rozpalony pręt.

— Lo ciebie tu, złokrew, posiono?! —

Uderzył wymachem ramion w powietrze, szeroko otwarł usta — krzyczeć!

I nie wydobywa z siebie ani jednej sylaby. Żylaste, jak szpony ręce, zaciskają się wokół jego szyji, coraz mocniej, coraz gwałtowniej, silniej.

Pada drgającą twarzą na tobół, pełny żytnich kłosów.

JÓZEF GRUDZIŃSKI

WIEŚ I MIASTECZKO

(Reportaż)

Przy końcu ubiegłej zimy wyjeżdżałem z Warszawy do stolicy jednego z południowo-wschodnich powiatów w województwie lubelskiem — na chłopski zjazd polityczny. Jedzie się tam pociągiem przez Dęblin, Rejowiec — w stronę Lwowa. Po ośmiu, z dokładem, godzinach jazdy, wysiadłem na małej stacyjce wśród wzgórz i sosnowych lasów. Rzeźwiące, mroźne powietrze, wdzięcznie nagradza godziny przemęczone w dusznej gorącości wagonu. Granatowe niebo mruga przyjaźnie jasnemi gwiazdami. Do celu podróży mam jeszcze dwadzieścia kilometrów jazdy — autobusem. Świeci on właśnie zza węgła stacyjnego budynku ślepiami latarń. Pozostawiam leśne powietrze i gwiazdy; czas wsiadać. Przeciskam się między pakunkami, walizkami i kolanami podróżnych na skrawek wolnego jeszcze siedzenia. Po krótkiem, rytualnem, warczeniu motoru, ruszamy. Wóz toczy się wąską ośnieżoną szosą wzdłuż mrocznych ścian lasu i śpiących wsi — toczy się i kołysze; kołyszą się w wozie senni pasażerowie. Po kilkudziesięciu minutach jazdy, zatrzymujemy się niespodziewanie. Otwierają się drzwi z rozmachem i wsiada nowy pasażer — ubrany po cywilnemu.

— Proszę państwa o dowody osobiste!

Wszystkich jadących, pogrążonych w półzamyśleniu, w półdrzemce owionął wiatr otrzeźwienia. Ocknęli się. Ręce sięgają do kieszeni i dobywają paszporty, książeczki wojskowe, metryki... Nowy pasażer ogląda je pokolei, spoziera badawczo na twarze, zagląda niemal do oczu. Uwaga jego spoczywa najdłużej na rubrykach książeczki wojskowej, wystawionej na nazwisko niżej podpisanego. Szeleszczą jej kartki, przewracane w lewo i w prawo, wreszcie chwila namysłu i pytanie:

— Czy pan posiada do tej książeczki dowód osobisty?!

— Posiadam. Zanim go jednak panu pokażę, może pan będzie łaskaw pokazać mi swój. Nie wiem, kim pan jest i na jakiej podstawie pan nas wszystkich legitymuje.

Odpowiedź ta była widocznie dla mego rozmówcy niespodzianką. Zawahał się chwilę, wreszcie wyjął z kieszeni swą legitymację i podał mi ją. Oglądam, konstatuję, że mam zaszczyt z władzą: — starszy posterunkowy! Zwracam co cesarskiego cesarzowi i okazuję mu swój dowód osobisty, pytając, jak człowiek niewychowany państwowo: czy na terytorjum tutejszego powiatu obowiązuje przymus paszportowy?

— Nie, nie obowiązuje. Sprawdzam dokumenty na podstawie doraźnego polecenia pana starosty...

Autobus dojechał wreszcie do swego celu. Zatrzymał się na rynku miasteczka, którego obywatele, za wyjątkiem stróżów nocnych, policjantów i spóźnionych pasażerów, śpią snem sprawiedliwych — wśród rodzimych pieleszy. Ja też, dzięki dostatecznej ilości osobistych dowodów, spałem tej nocy nie na posterunku policji.

* * *

Po kilku godzinach owego snu i rannym posiłku w gościnnym domu jednego z wybitnych działaczy chłopskich — udajemy się z nim razem do lokalu, w którym ma się odbywać zjazd.

— Może to was zdziwi — mówi mi mój towarzysz po drodze — ale zjazd nasz odbędzie się w lokalu organizacji żydowskiej.

— Jakże to?

— Nie mogliśmy innego znaleźć — ściślej mówiąc: nie mogliśmy dostać. Wprawdzie miasto nasze lokali takich, któreby nadawały się do liczniejszych zgromadzeń, posiada więcej — ale rozumie się — dla chłopów, zwłaszcza zaś dla chłopskiej organizacji politycznej — wstęp do nich zamknięty na wszystkie kłódki. Jest tu klub urzędniczy, który ma ładną salę, ale o niej nie można przecie nawet marzyć. Jest tu także dom katolicki, wybudowany ze składek parafjan. Kołataliśmy tam z całą chłopską nieśmiałością... niedawno odbywał się w tym domu zjazd Stronnictwa Narodowego, karmiliśmy się więc kromką nadziei, że i nam nie odmówią. Odmówiono jednak. Wielebny ksiądz dziekan nie chciał nawet na ten temat długo rozmawiać, tłumacząc się tem, że nie skończył mu się jeszcze różaniec nieprzyjemności, jakie ze strony czynników tu decydujących, po ostatnim endeckim zjeździe rzekomo go spotykają. Nic nam więc nie pozostało jak wykorzystać tę jedną jedyną możliwość: zwrócić się o wypożyczenie sali do miejscowej organizacji żydowskiej. Żydzi, poszwargotawszy między sobą, zdobyli się na odwagę — udzielili nam swej sali.

Skręcamy do podwórza domu, zamieszkałego od frontu i od oficyny przez latorośle narodu Izraela. Z podwórza wejście do lokalu, w którym ma się zjazd odbyć.

W sali — o ścianach ufarbowanych na pomarańczowo, z portretami zasłużonych działaczy żydowskich i pstrokacizną napisów w języku hebrajskim — zastajemy sporą gromadę chłopów, przybyłych często z daleka, ze wsi odgrodzonych dziś od świata zaspami śniegu. Na tych, którzy jeszcze nie zdążyli przybyć, z trudem snać zdobywając po drodze śnieżne barykady zimy, musimy poczekać. Czekając, gawędzimy o tem i owem — tematów zresztą do pogawędek z chłopami jest dziś dużo. O to, aby ich nie brakowało, stara się zresztą, jak może i jak umie, miejscowa władza. Dowiaduję się oto, że w ciągu paru ostatnich tygodni, od czasu wyznaczenia zjazdu przez Zarząd Powiatowy nie dochodziły do rąk prenumeratorów gazety ludowe, w których wydrukowane było ogłoszenie o zjeździe. Poczty czy urzędy gminne — albo jedne i drugie natchnione były na ten czas jedną myślą. Pocieszające to zjawisko; świadczy ono, że myślenie nie jest obce nawet prowincjonalnym urzędom.

Gdy tak gawędzimy, przybywają jedni po drugich, spóźnieni delegaci na zjazd. Rozlega się tupanie zapiętków o podłogę, przy otrząsaniu butów ze śniegu — trzepocą baranie czapki. Wreszcie rozpoczynają się obrady, zwyczajne, według przyjętego powszechnie ceremonjału. Zagajenie, sprawozdanie z działalności za roku ubiegły, referat, dyskusja, wolne wnioski...

W toku obrad słyszę, że rzucili się tu chłopi do organizowania spółdzielni spożywców. W ciągu paru ostatnich miesięcy powstało ich aż dziewięć. Wszystkie rozwijają się dobrze. Niektóre z nich mają około 2 tys. zł. miesięcznego obrotu. Brak tylko ludzi odpowiednio przygotowanych na kierowników sklepów spółdzielczych. Planują więc zgromadzeni urządze-

nie kursu, który miałby za zadanie dać podstawowe wiadomości z zakresu umiejętności prowadzenia ksiąg i t. p. Propagatorem i organizatorem tych spółdzielni na powiecie jest młody człowiek, który niedawno, w poszukiwaniu pracy, rajzował od miasta do miasta, pukając do rozmaitych urzędów... Obecnie jest pomocnikiem kancelaryjnym u adwokata-ludowca, w chwilach wolnych od kancelaryjnych zajęć rajzuje — tym razem — od wsi do wsi, apostołując na rzecz spółdzielczości. Oho! ale i w tej pracy spółdzielczej nie wszystko idzie tak łatwo — droga usiana cierniami, które jeśli kwitną to nie płatkami polnej róży, lecz mandatami karnemi. Jeden z chłopów za zwołanie zebrania organizacyjnego spółdzielni otrzymał taki mandat i chwali się, że go to jeszcze bardziej zachęciło do pracy... Władza zaś niełaskawem okiem spogląda na rozwój tych spółdzielni dlatego, że chłopi, wbrew licznym i pomysłowym intencjom miejscowego pana starosty — nie godzą się na przyłączenie ich do kółek rolniczych. Kółka rolnicze — to gniazdo p. starosty; czuje się on w niem tak samo wielmożnym jak kura na śmietniku. Prezesem powiatowego zarządu kółek rolniczych jest poseł do obecnego Sejmu. Ten fakt dużo sam przez się mówi. Ale p. starosta i z tego stanu rzeczy nie jest jeszcze zadowolony. Niedawno zwołał on na własną starościńską rękę powiatowy zjazd owych kółek, nie zawiadamiając nawet o tem pana posła — prezesa.

Nie chcą więc chłopi przyłączyć swych spółdzielni do kółek rolniczych, wysoko sobie ceniąc niezależność i samodzielność.

O tych to więc sprawach toczą się obrady.

Ktoś z pośród zgromadzonych wspomina o synach chłopskich, którzy nie dokończywszy, na skutek kryzysu, gimnazjów, siedzą na wsi, rozprażeni umysłowo, do pracy w gospodarstwie mało przydatni, malkontentni, czekający zmiłowania bożego mającego nadejść w postaci posady w jakimkolwiek urzędzie, gminnym czy powiatowym — najczęściej posady sekwestratora. Owo oczekiwanie na posadę wstrzymuje ich od udziału w pracach społeczno- kulturalnych lub gospodarczych organizacyj wiejskich, na które niełaskawie spogląda oko władzy. Wstrzymuje ich i od pracy w spółdzielniach, nie chcących uzależniać się od widzimisie p. starosty. Kapitał wydany na naukę synów, nie opłaca się wsi; siedzące w domach, niedouczone dzieci chłopskie są jak jałowe drzewka w ogrodzie, nie opłacające kosztów pielęgnacji żadnem owocowaniem.

Ktoś z obecnych stawia projekt wybudowania domu ludowego w miasteczku — domu, w którym znalazłyby przytułek centrale powiatowe wszystkich niezależnych organizacyj chłopskich. Wieś mogłaby dać przecie sporo materjału do budowy w drzewie, lasów bowiem w okolicy nie brak, a i o dobrowolną robociznę na ten cel też nie byłoby trudno...

Gdy się tak toczą i rozwijają obrady namłotne w zdrowe ziarna chłopskiej obywatelskiej myśli i troskliwości, naraz odzywają się za drzwiami ciche tłumione, jakby tylko przez nieostrożność zdradzające się, kroki. — To wszędobylskie i wszystkochłonne ucho władzy, zainstalowane w sąsiednim pokoju, aby łowić ułamki rozmów, przedostające się szparami drzwi, zdekonspirowało się tak niefortunnie, stając się pastwą, jak żądło kęśliwych chłopskich docinków i pokpiwań...

Po skończonych obradach, miałem jeszcze kilka godzin do odjazdu autobusem w stronę kolei, mającej mię odwieźć do Warszawy. Godziny te

zużyłem na zwiedzanie miasta i uzupełnienie swej wiedzy o życiu, obyczajach i zainteresowaniach jego mieszkańców.

Miasto, raczej — miasteczko, składa się w lwiej części z parterowych, drewnianych domków, przypomina przeto wieś i nasuwa dość krytyczne myśli o zasięgu i trwałości historycznego dzieła Kazimierza Odnowiciela, który miał pozostawić Polskę murowaną. Ale owa drewnianość jest temu miasteczku „do twarzy". W architekturze drewnianych domków zachował się dawny swojski styl. Natomiast żadnego stylu nie widać w skupiających się przy rynku i kościele domach murowanych, stanowiących piętno czasów nam bliższych. W miasteczku są wszystkie powiatowe urzędy, sąd, kościół, dużo karczem, komunalna kasa oszczędności, szkoła powszechna, trochę biednych sklepów — przeważnie żydowskich...

Życie jego ma powolne leniwe tętno, ożywiające się tylko w dni jarmarczne... i odpustowe. W tej chwili mieszkańcy miasteczka przeżuwają pokarm ostatnich dni karnawału. Najhuczniejszą zabawą była zabawa „rodziny policyjnej" — ona jest jeszcze przedmiotem wspomnień, ucieczką myśli, płowiejącej wśród powszedniości.

Czy bije tu jakie źródło życia kulturalnego? Czy jest tu np. jaki teatr? — Odbywają się, od czasu do czasu, przedstawienia amatorskie, przeważnie tylko z okazji świąt narodowych lub „państwowych". Czasem zabłądzą tu jakieś gwiazdy teatralne z większych miast... a pozatem nic. Dosłownie nic. Polska Macierz Szkolna otworzyła była w swoim czasie czytelnię pism — niebawem jednak musiała ją zwinąć ze względu na brak zainteresowania ze strony mieszkańców. Życie towarzyskie, polegające na wzajemnych odwiedzinach, herbatkach, grze w karty, od czasu do czasu, wieczorkach tanecznych, niewinnych flirtach, plotkach oraz rozmowach o ostatnich wydarzeniach w biurze czy urzędzie — toczy się powoli, ale też gładko i składnie według wszystkich form konwenansu, dobrego małomiasteczkowego tonu, urozmaicone tylko zrzadka pretensjonalnością manier osobistości świeżo tu przybyłych, a jeszcze niezupełnie do miejscowego obyczaju dostosowanych.

Poza konwenansem, czynnikiem normującym stosunki towarzyskie jest tu także lęk przed narażeniem się przełożonym. Inteligencja małomiasteczkowa to przeważnie urzędnicy państwowi i funkcjonarjusze rozmaitych instytucyj publicznych. Tak zwane wolne zawody są tu reprezentowane tylko przez paru adwokatów. Praworządny i lojalny urzędnik unika więc stosunków towarzyskich z osobami podejrzanemi o opozycyjność względem reżymu. Boi się przykrych następstw. Do rzadkich wypadków należą śmiałkowie, nic nie robiących sobie z tego, co pan szef powie lub pomyśli z powodu jego niepoprawności w dobieraniu sobie towarzystwa. Do takich należał właśnie miejscowy, młody lekarz powiatowy, o którego nagłym zgonie donoszą świeże jeszcze ogłoszenia żałobne. Był on ucieleśnieniem doktora Judyma z powieści Żeromskiego. Robił nieraz wrażenie, jakby się zawziął i rozwścieklił serdecznie przeciwko chorobom i boleściom gnieżdżącym się w ciasnych izdebkach miejscowej biedoty. Był wszędzie, gdzie tylko go wzywano. Nie uzależniał nigdy swej pomocy od zapłaty, chorego nie pozostawiał losowi; troskał się o niego i leczył dokąd troska ta była potrzebna. Zmarł właśnie niespodziewanie na atak sercowy przy warsztacie swej pracy...

* * *

Czekając na odejście autobusu, widziałem jak przychodzili ludzie do studni na rynku miasteczka i pompowali z niej wodę, zginając się i prostując — w takt obrotu koła, poruszającego tłokiem pompy. Woda jednak ciekła skąpym strumieniem — nie wynagradzającym trudu ludzkich rąk i grzbietów. Trzeba zrobić wiele obrotów kołem, trzeba dużo razy zgiąć się niemal głową do kolan, zanim wąski srebrny strumień wody wypełni wiadro po brzegi. Przychodzili jedni i pompowali tak, zginając się... po nich przychodzili drudzy i czynili to samo. Suchotnicza studzienka skąpo obdzielała ludzi swemi krystalicznemi skarbami i drogo kazała se za nie płacić. Patrząc na tę studnię, zadawałem sobie pytanie, czy miasteczko, które miałem opuszczać, w stosunku do swego otoczenia — do powiatu całego, do mnóstwa wsi, rozrzuconych w jego obrębie, spełnia w dziedzinie życia kulturalnego — taką przynajmniej rolę, jak owa studnia w zaspakajaniu ludzkich pragnień? Czy jest ono bodaj skąpem źródłem ożywczych sił, rozpływających się dookoła — i nowe kulturalne i społeczne życie budzących? Czy też źródła nowego życia na naszej prowincji nie biją gdzieindziej, zdala od miasteczek — czy nie tryskają one w zbiorowisku chłopskiem, w tem zbiorowisku, które narazie dla swych społecznych poczynań nie może znaleźć nawet gościnnego i przyzwoitego kąta w powiatowem mieście.

CO SŁYCHAĆ?

ECHA WYPADKÓW KRAKOWSKICH I LWOWSKICH

Krwawe wypadki w Krakowie i we Lwowie, których owocem była śmierć kilkunastu osób i setek rannych, wstrząsnęły do głębi uczuciami uczciwie myślącego społeczeństwa polskiego. Wszelka jednak prasa prawicowa, młodo i staro endecka, klerykalna i wogóle prasa wsteczna, bez względu na odcień partyjny uderzała na alarm, że oto wywrotowcy komunistyczni doprowadzają do takich zajść. Szuka się obłudnie jakiegoś kozła ofiarnego, bojąc się otwarcie przyznać do tego, że nędza mas robotniczych, spowodowana bezrobociem i wyzyskiem kapitalistycznym, doprowadza ludzi do aktów rozpaczy.

Posypały się również i orędzia biskupów z Krakowa i ze Lwowa.

Ks. Metropolita Sapieha pisze między innemi:

„Mamy nadto w naszem społeczeństwie bardzo znaczną ilość pracodawców niechrześcijan, którym chciwość tak zaciemnia oczy, że nie widzą nawet własnego niebezpieczeństwa i uprawiają bezlitosny wyzysk na każdem polu i bogacą się krzywdą ludzką".

Mamy tutaj do czynienia z wyraźnem acz wielce dyplomatycznem naświetleniem, że winien przedewszystkiem kapitalista obcy, a więc żyd. Oczywiście, nie można wymagać od dostojnego księcia Metropolity przyznania, że zasadnicze źródło obecnych zaburzeń społecznych leży w bankructwie dzisiejszego ustroju kapitalistycznego, opartego na krzywdzie i wyzysku mas pracujących — ale stawianie wyżej kapitalisty polskiego od obcego niczem nie jest uzasadnione. Każdy kapitalista jest równie żarłoczny

i chciwy na zysk i tutaj różnice narodowościowe roli zasadniczej nie odgrywają. No, ale taktyka idzie ku temu, ażeby wmówić w społeczeństwo, że wszystkiemu winien jest kto inny, tylko nie kapitalista polski.

Dalej ks. Metropolita snuje swoje rozważania:

„Skoro my (t. zn. kler) nie spełniamy naszego obowiązku i nie przychodzimy z pomocą niemogącym zarobić na życie, wtedy wciska się na przywódcę klas robotniczych kto inny: ludzie często nam obcy pochodzeniem i wiarą, przejęci nienawiścią. Tak samo jak w r. 1923 i teraz widzieliśmy wielu ludzi nieznanych wśród mas demonstrujących. Wodzowie komunizmu narzucili się na obrońców i doprowadzili nieopatrznie im wierzących — do gwałtu i nieszczęścia".

Tu kozłem ofiarnym ma być komunista. Ks. Metropolita przyznaje, że kler nie spełnia swoich obowiązków społecznych. Co za łagodne i wprost anieliczne powiedzenie. Niestety, jest jakąś potworną ironją, że kler w zasadniczych sprawach nigdy nie walczył o wyzwolenie warstw uciśnionych, że zawsze stał i stoi po stronie uprzywilejowanych i możnych tego świata. Wiemy dobrze, co kler nazywa komunizmem. Działacz wiciowy dlatego tylko — że dąży do usamodzielnienia się warstwy chłopskiej i jej podniesienia kulturalnego... inaczej przez księdza jegomościa nie jest określony — jak bolszewik, wywrotowiec i t. p. — dlatego, że niby burzy przez Boga ustanowiony porządek społeczny.

O ile tacy komuniści brali udział w wypadkach krakowskich i lwowskich — to nam to wystarczy.

Wypadki krakowskie i lwowskie stały się wodą na młyn dla innej kategorji ludzi — a mianowicie dla pułkowników, zwolenników rządów „silnej ręki", którzy chcieliby wmówić przy tej okazji w społeczeństwo, że zbawienie leży w silnej władzy.

Po wypadkach lwowskich takie rozważania snuje sanacyjno-pułkownikowska „Gazeta Polska":

„Faktyczny stan rzeczy wyżej przedstawiony unaocznić ma tylko, że notorycznych przyczyn bolesnych wydarzeń szukać należy conajmniej w 80 procentach gdzieindziej, aniżeli w klęsce braku zatrudnienia".

Rozumie się, że chodzi tutaj o niby słabe rządy Kościałkowskiego, które powodują takie smutne wypadki

Dalej:

„Pomijając istotny dla sprawy splot gospodarczo-socjalnych trudności w skali ogólno-polskiej należy podnieść skutki, jakie w psychice społeczeństwa żłobi leseferyzm względnie liberalizm ściśle polityczny, konjunkturalnie dziś modny, a praktycznie wyrażający się w braku zwartej organizacji ideowej społeczeństwa.

Nauka z zajść i wnioski?

Są one nieodparte i jedyne. Wobec niewątpliwego zachwiania autorytetu władzy państwowej należy go jaknajrychlej i jaknajmocniej odbudować. Zadanie to należy nietylko do Rządu. W niemniejszej mierze należy ono do społeczeństwa. Do społeczeństwa — zwłaszcza — w mieście kresowem. Społeczeństwo musi się skupić, skonsolidować pod sztandarem państwowym. Jest to warunek niezbędny, jeśli sile demagogji destrukcyjnej przeciwstawiony ma być front twórczej pracy i prawidłowego rozwoju życia. Tylko przed takim widzialnym i dotykalnym frontem skapituluje nieodpowiedzialny odruch i nieliczący się z żadnym pozytywnym dogmatem tłumu".

Z tego widać, że apetyty panów pułkowników są przejrzyste: wziąść wszystko krótko za mordę... to i „nieodpowiedzialnych odruchów nie będzie". Doniosłe problemy społeczne rozwiąże doskonale pałka policjanta!

M.

TWORZENIE BOŻKÓW

Od wzniosłości do śmieszności jest tylko jeden krok. Dlatego też sporo wyczucia, trochę taktu i odrobinę przynajmniej przyzwoitości potrzeba, ażeby z domniemanego „bohatera" nie stworzyć pociesznej figury. Nie wystarcza być bałwochwalca, zamało jest posiadać wiarę w swego urojonego bożka: stojący i przypatrujący się z boku, zamiast onieśmielenia i uwielbienia na widok pokazywanej im wielkości, doznają zazwyczaj uczucia, które się wyraża wzruszeniem ramion.

Różnego typu i rodzaju bałwochwalcy i feteszyści za wszelką cenę usiłują wywindować na powierzchnię przeróżne swoje „wielkości". Nie zastanawiają się, a może i zdają sobie z tego sprawę, ale pomimo to — robią wielu przyzwoitym skądinąd i uczciwym z prywatnego życia ludziom niesłychaną krzywdę, — właśnie przez pasowanie ich na „wodzów" i „bożków".

Żyje sobie np. człowiek o bezsprzecznie dużych zasługach dla Polski, ale obecnie schorowany i stojący nad grobem starzec. Nazywa się gen. Józef Haller. I właśnie fetyszyści uwzięli się nagwałt robić z niego „męża opatrznościowego". Proszę tylko przeczytać broszurę o gen. J. Hellarze, wydaną przez pułk. Modelskiego i przedmowę do niej napisaną przez gen. Januszajtisa, nawiasem mówiąc, zamachowca wespół z Sapiehą i in. na Rząd Ludowy. Mówi się tam poprostu, że **bez Hallera niema Polski, że losy państwa są ściśle związane z Hallerem, słowem, że Haller jest jakimś wyśnionym i jedynym „wodzem".** Wieści o zmartwychwstaniu nowego bożka roznoszą skwapliwie różne żerujące na sensację pisma. Usiłują więc stworzyć z Hallera swój szyld. Niepokoją bezceremonjalnie starca, odmawiającego w cichości różaniec i szykującego się do życia wiecznego. Innemi słowy: robią gen. Hallerowi niesłychaną krzywdę, bo nikt chyba w Polsce przy jako tako trzeźwych zmysłach nie uwierzy, że Haller będzie tym, który porwie i doprowadzi naród do nowych i wielkich czynów.

Tak to fetyszyści różnych odcieni na wszystkie sposoby i za wszelką cenę dążą do opanowania mas. Napoczekaniu fabrykują przeróżne „wielkości", byleby tylko ogłuszony, zakrzyczany i ogłupiony naród pociągnąć w swoje objęcia.

OD REDAKCJI

Numer niniejszy, „Młodej Myśli Ludowej" jest numerem specjalnym, w całości poświęconym sprawom kultury chłopskiej.

Zamierzeniem Redakcji było dać czytelnikom ogólny obraz zagadnienia, zilustrowany twórczością literacką pisarzy chłopskich.

Następny numer miesięcznika ukaże się w druku przed Świętem Ludowem i przyniesie szereg artykułów na aktualne tematy.

Warunki prenumeraty: Rocznie — 6 zł., półrocz. — 3 zł., kwart. — 1.50 zł.

„Młodą Myśl Ludową" redaguje Komitet.

Redaktor odp.: **Wincenty Stojek.** Wydawca: **Adam Zieliński.**

Drukarnia Oświatowa, Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Warszawa, Żelazna 93, tel. 11 86-88.